Ner 36. Kraków 15 listopada 1867. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Dwory i chaty.

III.

W poprzednim artykule podaliśmy niektóre uwagi względem polepszenia dobrobytu włościan. Sprawa to arcyważna. Bez dobrobytu nie ma oświaty, nie ma nawet poczucia potrzeby oświaty; ubóstwo i nędza trzymają człowieka w kole instynktów zwierzęcych; zaspokojenie fizycznych potrzeb staje się wtedy dla niego jedynêm szczęściem, jedynym celem życia. W dobrobycie dopiero budzą się w człowieku szlachetniejsze popędy, potrzeby umysłowych zajęć i rozrywek. Podane poprzednio przez nas uwagi, są małą cząstką tego, co zrobić wypada dla podniesienia tego dobrobytu. Nieraz jeszcze wrócimy do tego przedmiotu, dziś chcemy powiedzieć kilka słów w sprawie saméj oświaty, bez któréj wzrost dobrobytu jest niemożliwym.

U narodów niepodległych zajmują się sprawą oświaty: rząd, władze gminne i stowarzyszenia prywatne; pod opieką tych trzech potęg, naród bezpiecznym jest o przyszłość swoją. U nas rzecz się ma inaczéj. W naszém porozbiorowém istnieniu zaledwie kiedy niekiedy zdarza się chwila, w któréj nam wolno wspólnemi siłami własnym potrzebom zaradzać, a zmiana stosunków politycznych pociąga za sobą upadek nadziei rozkwitających, instytucyj, które ledwie w życie wchodzić zaczęły. W takim stanie rzeczy praca, któréj wspólnemi siłami nieraz podjąć nam nie wolno, powinna się stać obowiązkiem każdego w szczególności, każdy dwór i każdy człowiek powinien w najbliższym zakresie rozpocząć działanie w téj mierze na rzecz dobra ogólnego, bez wyczekiwania inicyatywy i uchwał. Dobra wola pojedyńczego człowieka niesłychane przyniesie korzyści.

Przypatrzmy się szkołom wiejskim u nas — tym najpotrzebniejszym, a najwięcéj u nas zaniedbanym zakładom. Jakiż ich stan? — Najpierw jest ich zbyt mało w porównaniu do ogólnéj potrzeby, a powtóre tam, gdzie istnieją, nie przynoszą tych owoców, jakich po nich spodziewaćby się należało. Czemu?

Jest wiele przyczyn złego, a usunięcie ich zależy przeważnie od dworów i duchowieństwa.

Wydatki na szkołę, które wyłącznie do gminy należeć muszą, wydają się u nas wieśniakowi ciężarem i przymusem. a to z dwóch przyczyn: raz, że nie czuje jeszcze potrzeby oświaty; powtóre, że nie widzi jéj pożytków.

Pierwsze ustąpi, gdy się drugiemu zaradzi.

Dotychczas dzieci wiejskie po dwóch lub trzech latach szkoły, nie wynoszą z niéj żadnych praktycznych dla życia korzyści. odrobinę pisania i czytania wkrótce zapominają i wracają do roli tak ciemne jak i dawniéj. Pochodzi to z dotychczasowego n i e m i e c k i e g o urządzenia szkół. Otóż, usunąć to złe z pomocą władz gminnych, pilnym nadzorem i dodatkową pracą starać się uzupełniać braki, zażywiać oświatę nabytą w szkole przez zakładanie bibliotek ludowych — a pożytki ze szkoły staną się dla ludu widocznemi i przekona się o potrzebie oświaty. Moralne dobra mają to do siebie, że raz nabyte lub wpojone, zakorzeniają się, pozyskują miłość i stają się koniecznemi.

Z usunięciem powyższych przyczyn nastąpi samo z siebie, że i obowiązek posyłania dzieci do szkoły przestanie lud uważać za narzucony przymus. Pod tym względem można jeszcze wpływać i innemi środkami, i to zarówno na ojców, jak i na dzieci. Niemałą zachętą jest tu, jeżeli wieśniak widzi, że dwór, że panienki i panie zajmują się szkołą, postępami uczniów i uczennic. Próżność i miłość rodzicielska wszędzie gra wielką rolę, nawet u prostych ludzi — należy więc ją zużytkować na ich korzyść. Pochwałą, nagrodami zachęcać dzieci do szkoły i to nie tylko dzieci wieśniaków, ale i żydowskie dzieci arendarza, pachciarza itd. Dotąd mało gdzie praktykowano coś podobnego, nadzór duchowny trzymał zawsze zdaleka od szkół chrześciańskich dzieci żydowskie. Jakiż ztąd osiągnięto pożytek? Dzieci żydowskie szły pod wyłączną komendę belfra, który wpajał w nie niechęć, pogardę dla chrześcian, rodzice dokończali téj edukacyi zaprawianiem ich do spekulacyj i zysków. Odrębność nauki i brak obcowania z dziećmi wiejskiemi utrzymywały dotąd w dzieciach żydowskich poczucie, że są obcemi w społeczeństwie wśród którego żyją, utrzymywały z obu stron przesądy i niechęć. — Należy znieść tę kastowość, bo inaczéj naród nigdy do sił nie przyjdzie.

Ponieważ dzieci wiejskie najczęściéj tylko zimą uczyć się mogą, a szkoła częstokroć w drugiéj lub w trzeciéj wsi się znajduje, do któréj dzieci źle ubrane wśród częstych zawiei i mrozu dostać się nie mogą — należałoby urządzić drabiniaste omnibusy, któreby dwa razy dnia zabierały po drodze dziatwę do szkoły i napowrót ją odstawiały. — Omnibusy takie mogliby urządzić sami włościanie, a nawet i dwór. — Dzieci bawiłyby takie przejażdżki — i to byłoby jedną zachętą więcéj.

Należałoby również zaradzić, aby wraz z topniejącemi śniegami i nastającą wiosną szkoły nie ustawały; a zwykle się tak dzieje, że rodzice pod pozorem, iż nie mają się kim wyręczyć, nie posyłają dzieci przez lato do szkoły, przez co zapominają to, czego się nauczyły, i z następującą zimą prawie nanowo naukę rozpoczynać muszą. Nie dość na tém, przybywa do tego jeszcze jedno niebezpieczeństwo: Dzieciom tym powierzają nadzór bydła na pastwiskach, ale ich samych nikt nie nadzoruje przez cały dzień co robią, jak się bawią; — ztąd wynika, że porządek koło bydła osiąga się nieraz kosztem moralności tych dzieci. — Czyż nie lepiéjby było ustanowić za pewną zapłatę pasterza gromadzkiego — a dzieci tymczasem posyłać do szkoły?

W końcu chcemy mówić o najważniejszéj rzeczy — o nauczycielu. Wiadomo, że dobrą szkołę stanowi dobry nauczyciel; tymczasem dwory tak mało zważają na nauczycieli wiejskich, prawie nie wiedzą o tém, że oni tam gdzieś we wsi istnieją.

W hierarchii społecznéj nauczyciele wiejscy stoją na równi z kucharzem lub pokojówką w oczach dworu; ludzie ci, którym do wypełniania tak mozolnego zawodu potrzeba otuchy, zachęty, towarzystwa, ułatwień, którzy sami ciągle jeszcze kształcić się powinni (co w braku pism pedagogicznych u nas i przy szczypłych swoich zasobach jedynie przez obcowanie ze światłymi nabyć mogą) — ci ludzie pozostawieni są sami sobie, nie ma dla nich miejsca we dworze; ograniczeni więc na obcowanie jedynie z ludem, zamiast rozjaśniać ciemnotę, sami zwykle dziczeją i stają się maszynami abecadła, o którego związku z oświatą i pomyślnością narodu wyobrażenia nie mają. Nudy, brak odpowiedniego towarzystwa wtrącają często tych ludzi w zgubne nałogi, które im odejmują godność i szacunek.

I od kogóż to zależy, żeby zmienić ten stosunek, jeżeli nie od Was Panie?! Jeżeli komu, to nauczycielowi ludu winnyście otworzyć gościnnie drzwi waszego domu i przyjąć go jako zacnego gościa. — A jeżeli jeszcze z gościa tego zrobicie prawie domownika waszego, jeżeli nie dopuścicie, aby nici łączące każdego człowieka-obywatela ze społeczeństwem i z jego celami, dla niego miały być przecięte, jeżeli przez wpływ i towarzystwo wasze utrzymacie go na wysokości jego powołania, nie szczędząc zachęty i uznania, ogrzewając go współczuciem i podnosząc szacunkiem — to dzieło wasze trwalsze będzie jak zwycięztwa bohaterów wojowników, bo tamte niszczą ludzi — a wy ich stwarzać będziecie.

Również, a może bardziéj jeszcze należy przyjść z pomocą żonom nauczycieli, których wpływ dotąd szcze mniéj widoczny między ludem. Zostawione bez zachęty, bez pomocy, pracują bez zapału, bez zamiłowania — nie nauczywszy ani szycia, ani oszczędności, ani porządku i gospodarności. — Ta część nauki — to Wasz wydział Panienki, i gorliwie współdziałać trzeba z taką nauczycielką, a tam, gdzie jéj nie ma, przyjąć całkiem jéj obowiązki. Kiedy Was lalki już bawić przestaną, niech Was zajmie prowadzenie dzieci wiejskich, będzie to praktyczne przygotowanie się do późniejszego stanu. Niech dziewczęta wiejskie gromadzą się choćby parę razy na tydzień koło Was, niech słuchają Waszych opowiadań same zajęte robotą, niech uczą się od Was przyrządzania leków, gospodarskich zatrudnień, jeżeli można, sprowadźcie maszynę do szycia i uczcie je używania jéj, a nadewszystko łagodności, delikatności i ogłady — a praca Wasza będzie podwaliną przyszłości naszéj.

Wiadomo, że u ludu wiejskiego właściwemi głowami domu, są prawie zawsze kobiety. Kształcenie, oswajanie dziewcząt wiejskich jest więc najsilniejszą dźwignią w pracy około ludu.

Wiemy, że Polkom nie potrzeba zachęty tam, gdzie idzie o czyn piękny i pożyteczny — chcieliśmy jedynie zwrócić uwagę Waszą piękne Czytelniczki, że ten czyn piękny, o którego spełnieniu każda marzy, składa się z tysiąca drobnych chwilek pracy i poświęceń, że przyszłość nasza nie jest gdzieś, za obłokami, w niebie, zkądby ją wytęsknić, wypłakać, wymodlić — ale jest tuż koło nas: w domu, na wsi, leży jak powikłana przędza, którą trzeba cierpliwie rozmotać i uprząść. Jesteśmy pewni, że téj pracy chwycicie się oburącz, wszystkiemi dziesięcioma paluszkami, że oświata znajdzie w Was najgorliwsze apostołki — a wtedy w ludzie, wśród którego żyjecie, nie wrogów, lub w najlepszym razie obojętnych — ale życzliwych, serdecznych i wdzięcznych sąsiadów i przyjaciół mieć będziecie. — Czyż taka nagroda nie warta trudu? —

PRZEMIANY.

Kiedyś, kiedyś — pamiętam — za młodu
Mnie się chciało być wieszczem narodu,
Na widoku stać jasny, świetlany,
W pochwał dymy i laury ubrany.
Ta myśl stała wciąż przedemną dumna;
A gdy boleść rzucała mnie w łoże.

To trwożyła mnie przedwczesna trumna,
Ten grób ciemny, w który się położę
Sam, bez sławy; przed taką mogiłą
Lęk mnie straszny brał i serce biło.

Później, kiedym z oczami mokremi
Przypatrzył się cierpieniom méj ziemi,
Gdym zobaczył mogiły. więzienia,
I tych, co się na wygnanie wleką —
To umilkły me dumne zachcenia,
I uciekły odemnie daleko,
Rumieniąc się z wstydu. I me pieśnie
Rozpoczęły zawodzić boleśnie,
Niby płaczki na ludu pogrzebie.
I nie chciałem już nic — nie dla siebie,
Tylko wszystko dla téj ukochanéj,
Dla téj Mojéj okutéj w kajdany.
I nadzieję mą, miłość i wiarę,
I me pieśni dałem jéj w ofiarę.

I wierzyłem, że pieśnią lud ruszę,
Że ten zapał, co mi targał duszę,
Natchnień ogniem twarze im rozpali,
Że obudzi tych, co długo spali,
Że podniesie tych, co zwątpieć mieli,
Że pocieszy tych, co nieweseli. —

Próżnom ręce na strunach pokrwawił,
Chciałem wzruszyć, a tylkom ich bawił.
Purpurowy wstyd mi oblał lice,
Żem im śpiewał jak baszy w haremie
Nucą do snu puste niewolnice.

Więc rzuciłem mą lutnię na ziemię,
I przekląłem przemarnione chwile,
Skrzydła lśniące tęczowe, motyle
Zdzieram z ramion, bez żalu je tracę, —
I jak mrówka idę w ciężką pracę.

M. B.

Barbox Bracia.

(Charles Dickens)

(Ciąg dalszy.)

O ile się zdawało, przechadzki te nader sprzyjać musiały jego odwiedzinom, bo wrócił po upływie jednego dnia.

— Pani zapewne sądziłaś, że mnie już nigdy nie zobaczysz — mówił do Febe podając jéj rękę i siadając przy jéj łożu.

— Dla czegóżbym tak sądzić miała? odpowiedziała zdziwiona.

— Przekonany byłem, że mi pani nie będziesz dowierzać.

— A to dla czego? czy panu tak często nie dowierzali?

— Mogę to śmiało potwierdzić; ale ja i innym również nie dowierzam; lecz przestańmy o tém. Mówiliśmy kiedyś o kolei, od przedwczoraj co kilka godzin spędzam na dworcu.

— A czy pan już jesteś podróżnym d o k ą d? zapytała z uśmiechem.

— Zapewne „d o k ą d“, ale jeszcze nie wiem gdzie. Pani byś zapewne nigdy nie zgadła odkąd ja jeżdżę. Czy mam powiedzieć? Jeżdżę od dnia moich urodzin.

Ręce jéj przestały pracować, i spojrzała na niego z niedowierzającém zadziwieniem.

— Tak jest, rzekł Barbox Bracia, posuwając się zakłopotany w krześle, od mych urodzin jestem sam sobie niby książką niezrozumiałą, z której wydarto i wyrzucono poprzednie rozdziały. Mój wiek dziecinny nie miał wdzięku dzieciństwa, moja młodość nie miała powabu młodości. A czegóż po tak smutnym początku spodziewać się można?

Oczy jego spotkały jéj oczy pilnie na niego zwrócone i ubodło go coś w piersi, szepcząc: „A czyż to łoże znało także wdzięki dziecieństwa i powaby wieku młodocianego? O wstydź się! wstydź się!“

— Jest to słabość z mojéj strony, że o tém z taką goryczą wspominam, rzekł Barbox Bracia, przerywając rozmowę, jak gdyby mu przyszło z trudnością coś połykać. Nie wiem jak przyszło, żem o przeszłości zaczął mówić. Zdaje mi się, że głównym powodem mojéj nieufności stała się zdrada kobiety, którą niegdyś kochałem. Zresztą nie wiem — jestem cały goryczą przejęty.

Jéj ręce zwolna i spokojnie zajmowały się robotą; spoglądając na nią, widział, że oczy jéj w zamyśleniu towarzyszyły ruchom rąk.

— Jeżdżę od dnia urodzin, dokończył, bo dzień ten zawsze był smutnym dniem dla mnie. Pierwszy dzień urodzin odkąd swobodny jestem, zbliża się za jakie pięć lub sześć tygodni; jeżdżę więc, by jego poprzedników zostawić daleko za sobą, staram się, by dzień ten zdruzgotać w pamięci, lub przynajmniéj żeby go usunąć z mego widoku, gromadząc nowe przedmioty przed sobą.

Spojrzała na niego, gdy mówić poprzestał; lecz kiwnęła tylko głową, jak gdyby go pojąć nie mogła.

— Szczęśliwe usposobienie, pani zdaje się nie pojmować tego, mówił daléj, zatrzymując się prawie nad każdém słowem, jak gdyby ta zwłoka zawierała w sobie coś uniewinniającego go. Byłem naprzód o tém przekonany i rad jestem z tego. Całe życie pragnę spędzić w podróży, gdyż rozstałem się z nadzieją założenia sobie własnego ogniska. Słyszałaś pani od ojca, że na téj stacyi zatrzymałem się. Tak liczne drogi tutaj się krzyżują, że zbałamucony, nie wiedziałem, którą się udać, i dotąd nie zdecydowałem się jeszcze, którą mam obrać. — Czy wiesz pani co zrobię? — Wieleż z tych

dróg krzyżujących się na stacyi możesz pani z tego okna zobaczyć?

Wyglądając oknem z wielkiém zajęciem odpowiedziała „siedem“.

— Siedem, rzekł Barbox Bracia, przypatrując jéj się z poważnym uśmiechem. Dobrze, więc ja postanawiam całą tę liczbę ogromną zredukować do tych siedmiu, a z tych siedmiu stopniowo wybrać jednę najkorzystniejszą dla mnie, i tę obrać sobie.

— A jakżeż pan odgadniesz która z nich najkorzystniejsza? zapytała, a oczy jéj błyszczące błąkały się po krajobrazie.

— Ach, rzekł Barbox Bracia znowu z poważnym uśmiechem, czując się coraz swobodniejszym podczas rozmowy, — uskutecznię to w ten sposób: Tam, gdzie ojciec pani codziennie tak wiele zbiera w celu szlachetnym, może i ja coś uzbieram w celu obojętnym. Podróżny do Nikąd jeszcze dokładniéj znanym być musi w dworcu kolei, tak długo tam się zjawiać będzie, dopóki nie zobaczy, nie usłyszy lub nie odkryje czegoś o tych siedmiu drogach, co go dla jednéj z nich głównie zainteresuje, a tak odkrycia jego zdecydują nareszcie o wyborze drogi.

Ręce jéj bezustanku pracowały, a ona znowu oknem spojrzała po drogach, jak gdyby one obecnie coś nowego zawierały, czego tam poprzednio nie było, i roześmiała się serdecznie, jak gdyby ta uwaga podwoiła była jéj ukontentowanie.

— Jednak muszę sobie u pani łaskę wyprosić, ja do tego planu potrzebuję pomocy pani. Pozwól pani, że będę jéj przynosił, co uzbieram po tych siedmiu drogach, na które pani ztąd spoglądasz i będziemy się zastanawiać wspólnie z panią nad tém, co przyniosę. Czy pani na to zezwolisz? Mówią, że dwie głowy więcéj wiedzą aniżeli jedna, sądzę, że to prawdopodobnie zależy od głów w takim wypadku interesowanych; a jestem przekonany, jakkolwiek krótko się znamy, że głowa pani i jéj ojca odkryły daleko lepsze rzeczy, aniżeli ja Febo kiedykolwiek wynajdę.

Podała mu prawą rękę, zachwycona jego propozycją i dziękowała mu gorliwie i wdzięcznie.

— Zgoda więc! zawołał Barbox Bracia, lecz jeszcze jedną łaskę mam sobie wyprosić: zamknij pani oczy!

Śmiejąc się żartobliwie z dziwaczności jego żądania, uczyniła o co prosił.

— Nie otwieraj pani oczu, rzekł Barbox Bracia, idąc cicho ku drzwiom, i wracając ztamtąd, pani pod słowem honoru masz oczu nie otwierać, aż sam na to zezwolę.

— Daję słowo.

— Dobrze, pozwolisz pani, że jéj krosna na chwilę usunę.

Śmiejąc się i dziwiąc, zdjęła ręce z krosien, a on je usunął na bok.

— Powiedz mi pani, czyś widziała obłoki dymu i pary, pochodzące od wczorajszego pociągu rannego, jadącego ztąd siódmą z tych dróg?

— Tą drogą, poza wiązami i wieżą kościelną?

— Tak jest, rzekł Barbox Bracia, zwracając oczy oknem ku drodze.

— Patrzałam za nimi, dopóki nie znikły.

— Czyś pani coś szczególnego w nich wykryła?

— Nic — odpowiedziała wesoło.

— Nie jest to wcale dla mnie pochlebném, bo ja jechałem tym pociągiem. Pojechałem — proszę oczu nie otwierać — by to przywieść dla pani z pobliskiego wielkiego miasta. Jest to o pół mniejsze jak krosna pani i spoczywa wygodnie i z łatwością na ich miejscu. Te małe klucze, podobne do miniaturowych kluczy, służącyh do strojenia fortepianów, należą do nakręcania instrumentu lewą ręką. Niechaj pani służą, moja droga, i niech jéj nastręczą miléj i upragnionéj muzyki — a teraz możesz pani oczy otworzyć.

Bądź zdrowa.

Wysunął się niezgrabnie jak zwykle i zamknął drzwi za sobą. Gdy się odwracał, widział, że w zachwyceniu podarunek przycisnęła do piersi i pieściła go. Na ten widok jego serce rozradowało się i rozbolało zarazem. Bo gdyby młodość jéj rozwinęła się była biegiem naturalnym, przycisnęłaby może w téj chwili uśpione dziecię do piersi, przysłuchując się słodkiéj melodyi jego głosu.

Z dobrą wolą i stałością w zamiarze podróżny do Nikąd rozpoczął następnego dnia swoje poszukiwania, tyczące się owych siedmiu dróg. Wypadki ostatecznie z tych poszukiwań wynikłe i roztrzygane następnie przez niego i Febę, znajdą później miejsce odpowiednie w téj prawdziwéj powieści. Więcéj jednak czasu zajęło ich zbieranie aniżeli opowiadanie, i zdaje mi się, że to tak najczęściéj bywa, wyjąwszy zpod téj reguły ogólnéj utwory, które wyższy jeniusz poetyczny, gardząc prozą i jéj mozołem, w chwilach natchnienia na korzyść potomności na papier wylewa.

Trzeba jednak przyznać, że Barbox Bracia wcale się nie spieszył. Serce jego cieszyło się przysługą, jaką wyświadczył choréj. Radość jego była prawdziwą, kiedy siedział przy łożu Feby i przysłuchiwał się, jak coraz więcéj wywabiała tonów z instrumentu, i jak coraz więcéj rozwijał się przez to jéj smak przyrodzony i słuch muzykalny. Oprócz przyjemności znalazł w tém i zajęcie, które w biegu tygodni zapełniało godziny, i wynikło ztąd, że urodziny, których się tak lękał, nadchodziły zanim się spostrzegł.

Lamps wesoły, rozjaśniony, brał udział także czasem, lecz bardzo rzadko w spólnych naradach co do wyboru dróg, które jednak wcale nie prowadziły do celu, bo Barbox Bracia czasem interesował się jedną

a czasem drugą drogą, lecz nie mógł znaleść dostatecznych powodów, dla czegoby miał jednę drogę nad drugą przekładać. Dla tego, kiedy odbyto ostatnie posiedzenie, rzeczy nie postąpiły były o jeden krok dalej.

— Ale panie, uważała Febe, wszak pan tylko o sześciu drogach opowiedziałeś, czyż siodma droga miałaby być niemiłą?

— Siódma droga? O, rzekł Barbox Bracia, pocierając brody, wszak ja tą drogą jechałem po ten mały podarunek dla pani, to jest historja téj drogi Febo!

— A czybyś pan nie chciał znowu tą drogą pojechać? zapytała po krótkiém namyśleniu.

— Dla czego nie? Jest to piękna, rozległa droga.

— Chciałabym, żebyś pan ją obrał, odpowiedziała Febe ze słodkim uśmiechem, choćby dla miłości podarunku tak dla mnie drogiego. Chciałabym, żebyś ją pan obrał, bo ta droga nie może mi już być równie obojętną jak każda inna. Obierz ją pan, byś sobie mógł przypomnieć, że jadąc nią, tyleś mi dobrego wyświadczył, takeś mię uszczęśliwił. Jeżeli pan mnie opuścisz tą drogą, którą jechałeś w celu wyświadczenia mi tak wielkiéj łaski, dodała z głębokiém wzruszeniem, to ja leżąc tu przy oknie i wyglądając, przeczuwać będę, że pana poprowadzi do pomyślnego celu i że pan nią tu kiedyś powrócisz.

— Uczynię jak żądasz, moja droga, uczynię jak żądasz.

Tak więc nareszcie podróżny do „Nikąd“ wziął bilet jazdy „Dokąd“, a miejscem przeznaczenia było znowu owe wielkie miasto przemysłowe. Tak długo zwlekał był swój wyjazd z Mugby, że nadszedł był ośmnasty grudnia, zanim ztamtąd wyjechał.

— Czas wielki, zauważył sam do siebie, kiedy pociąg odchodził, że wyruszyłem na prawdę. Jeden tylko dzień leży pomiędzy mną i tym dniem, przed którym uciekam. Jutro posunę się daléj ku okolicy górzystéj ku Walizyi.

Atoli śród tych postanowień czuł jakąś tęsknotę, jakąś żałość. Wmawiał w siebie, że nowe wrażenia gór zamglonych, rwących rzek, deszczu, zimna, dzikich brzegów morskich, wywrą wpływ dobroczynny na jego zmysły; lecz nie potrafił na serjo w to uwierzyć. Pomiędzy obrazy waliskie wkradały się mimowolnie marzenia o tém, czy ta biedna dziewczyna, pomimo nowego zasiłku, jaki znalazła w muzyce, nie czuła się samotną; czy ona zobaczy te same obłoki dymu i pary, na które on spogląda, siedząc we wagonie i myśląc o niéj; czyli jéj twarz przybierze wyraz tęsknego zadumania, kiedy te obłoki pary uniosą się przed jéj oknem i znikną w powietrzu, czy ona zapewniając go, że jéj tak wiele dobrego wyświadczył, nie miała zamiaru uśmierzyć jego żalu, ulżyć przykrości położenia w jakiém się znajdował, czy ona nie miała na myśli przekonania go, że można ulgę przynieść, chociaż się nie jest lekarzem. Czuł on tę próżnią jaka nas zwykła ogarniać, kiedy opuszczamy osobę, do któréjśmy się przywiązali, która się stała przedmiotem naszych starań, a to uczucie tak nowe dla niego, napełniało go niepokojem. Nareszcie tracąc z oczu Mugby Junction znalazł się sam nasam ze sobą, a nie był wcale rad z tego, wspominając, że nie dawno temu używał był lepszego towarzystwa. Lecz tam nie daleko już ukazuje się to wielkie przemysłowe miasto, do którego dążył. To skrzypienie wozów i łoskot, i te echa rozmaite łączące się z nimi, wskazują zbliżenie się do głównéj stacyi.

Barbox Bracia umieścił swoje tłómoki w hotelu, oznaczył godzinę obiadową i wyszedł na przechadzkę po ulicach miasta. Dawniéj może przed swoim pobytem w Mugby, byłby przechadzał się po ulicach naoślep i w zamyśleniu, obecnie zaś miał oczy i myśli otwarte dla świata zewnętrznego. Zastanawiał się nad tém, jak ci liczni ludzie pracujący żyli, kochali i zmierali. Wszak ci wszyscy ludzie to robotnicy w jednym wielkim zakładzie przemysłowym obracającym różnorodne siły fizyczne i inteligencyi w celu utworzenia coraz czegoś nowego dla przyozdobienia lub pożytku powszedniego życia. Jakżeż miłém musiało im być to przekonanie, że ich stowarzyszenia mające za cel zużytkowanie różnorodnych zdolności ku jednemu celowi cywilizacyjnemu, nie tylko nie wywierają na nich szkodliwego wpływu, jak zwykli twierdzić zarozumiali konserwatyści, lecz owszem podnoszą w nich poczucie własnéj godności i wzbudzają skromne i wcale usprawiedliwione życzenie stawania się coraz mędrszymi i zdolniejszymi. Spostrzeżenia te nasuwały mu się, gdy chodził po ulicach i przypatrywał się tym ludziom: a to pilne wpatrywanie się jego uczyniło dla niego tę przechadzkę bardzo pamiętną.

— Wszak i ja jestem tylko cząstką całości, począł myśleć, i ażeby stać się pożytecznym dla siebie i drugich, i aby być szczęśliwym, muszę własną pracę dorzucić do wspólnego mienia i napowrót ztamtąd ciągnąć dla siebie korzyści.

Przechadzka jego po mieście tak długo trwała, że kiedy miał wracać, już poczynano latarnie zaświecać po ulicach, a sklepy i gabloty błyszczały od światła. Przypomniało mu to, że ma powrócić do domu, i zwrócił tam kroki swoje, w tém uczuł drobną rączkę czepiącą się jego ręki, i usłyszał drobny głosik, który mówił:

— O panie, zbłąkałam się.

Spojrzał wkoło siebie i zobaczył bardzo małą dziewczynkę o jasnych włosach.

— Tak jest, rzekła potwierdzając słowa swoje pokiwaniem głowy — doprawdy żem się zbłąkała.

Wielce zakłopotany stanął, spojrzał wkoło szukając pomocy, a nie odkrywszy jéj nigdzie, schylił się nisko i rzekł:

— Gdzież ty mieszkasz moje dziecko?

— Nie wiem gdzie mieszkam, odparła, zbłąkałam się.

— Jak się zowiesz?

— Polcia.

— A jeszcze jak?

Powiedziała, ale tak niezrozumiale, że Barbox Bracia pomimo powtórnego pytania nic pewnego w tym względzie od dziewczynki dowiedzieć się nie mógł.

— Ale ja się zbłąkałam, mówiło dziecko, tuląc małą rączkę w jego dłoni, a ty się starać o mnie będziesz. Czy nie prawda?

Jeżeli kiedy był człowiek podzielony między litością z jednéj strony, a obawą kłopotu i brakiem postanowienia z drugiéj strony, tośmy go w téj chwili mieli przed sobą.

— Zbłąkała się, powtarzał spoglądając na dziecko, co tu robić?

— Gdzież ty mieszkasz? zapytało dziecko, patrząc się na niego spokojnie.

— Tam, odpowiedział wskazując w kierunku swego hotelu.

— Czyby nie było lepiéj, gdybyśmy tam poszli,

— Pono to będzie najlepsze, co uczynić możemy.

Poszli więc dłoń w dłoni. On obok swéj małéj towarzyszki czuł się tak niezgrabnym, tak nieradnym, jak gdyby się właśnie był przemienił na głupkowatego olbrzyma; ona zaś jakby przeczuła, że zapanowała nad jego zakłopotaniem, stawała się co chwila więcéj ożywiona i śmielsza.

— Spodziewam się, że będziemy obiad jeść jak tam przybędziemy? mówiła Polcia.

— Dobrze, odparł, spodziewam się że będziemy.

— Czy lubisz obiad? pytało dziecko.

— Dla czego nie? rzekł Barbox Bracia, zdaje mi się, że lubię.

— O, ja bo lubię, mówiła Polcia. A masz ty braci i siostry?

— Nie. A ty czy masz?

— Moi wszyscy zmarli.

— O! wykrzyknął Barbox Bracia, nie wiedząc co daléj powiedzieć.

Dziecko jednak zawsze gotowém było do rozmowy.

— Cóż ty po obiedzie poczniesz, żeby mnie zabawić? zapytało, głaszcząc jego dłoń gładką rączką swoją.

— Słowo daję Polusiu, zawołał Barbox Bracia mocno zmięszany, nic mam najmniejszego o tém wyobrażenia.

— Więc ja ci coś powiem, mówiła Polcia, masz ty karty w domu?

— O mam ich bardzo dużo — rzekł Barbox Bracia chełpliwie.

— Bardzo dobrze, to ja będę domy budować, a ty mi się musisz przypatrywać, ale zdmuchiwać ich nie wolno.

— O nie, mówił Barbox Bracia, nie, nie, nie. Dmuchać to nie ładnie.

Pochlebiał sobie, że jak na głupiego olbrzyma zachował się był bardzo dobrze, że się umiał zastosować do dziecka; ale Polcia zniweczyła jego pochlebne o sobie mniemanie, rzekłszy w tonie litościwym:

— Co za śmieszny człowiek z ciebie.

To go do reszty wprawiło w kłopotliwe położenie; nie wiedział i nie umiał postępować sobie z małą; widział, że jest przez jéj dowcipek i przytomność zawojowany.

— Czy ty umiesz bajki opowiadać? — zapytała go.

Z upokorzeniem przyznać musiał, że nie.

— Jakżeż ty musisz być głupim, mój kochany. Może nie? mówiła Polcia.

Z upokorzeniem potwierdził, że tak.

— Czy chcesz żebym cię bajki nauczyła? ale musisz ją spamiętać, ażebyś znowu komu innemu mógł opowiedzieć jak należy.

Zapewniał ją, że to będzie dla niego wielką rozkoszą, jeżeli go bajki nauczy, i że najpokorniéj usiłować będzie zatrzymać ją w pamięci. Poczém Polcia znowu rączkę w jego dłoni obróciła, jak gdyby na dowód zgody i ukontentowania, i rozpoczęła długą powieść, w któréj najciekawszém wydarzeniem było, że wróżka ukarała chłopca za jego łakomstwo, a w tym celu zrobiła pasztet cztery łokcie długi, a dwa szeroki, a chłopiec jadł i jadł bez przestanku, a jego policzki puchły i puchły, aż nakonice chłopiec zjadł pasztet cały i pęknął w skutek tego żarłoctwa.

Zajmującym był widok Barboxa, kiedy z twarzą poważną i ciekawą, z uchem nachyloném ku ziemi postępował koło niéj, torując sobie drogę przez zaludnione ulice miasta, przysłuchując się z taką uwagą, jak gdyby się obawiał stracić choć jeden szczegół tego opowiadania.

Tak przybywszy do hotelu, oznajmił on w pokoju gościnnym, dość niezręcznie wywięzując się z tego, że znalazł małą dziewczynkę. Wszyscy obrócili się, by spojrzeć na tę małą dziewczynkę, lecz nikt jéj nie znał, nikt nie mógł zrozumieć jéj nazwiska gdy je wyrzekła, wyjąwszy jedną pokojówkę, któréj się zdawało, że brzmi podobnie do Konstantynopola, co jednak wcale prawdopodobném nie było.

— Ja z tą małą panienką zjem obiad w moim pokoiku, rzekł Barbox Bracia do właściciela hotelu, a może pan będziesz łaskaw dać znać do policyi, że to ładne dziecko jest tutaj. Sądzę, że się tam po nią niebawem zgłoszą, jeżeli tego jeszcze dotąd nie uczynili. Pójdź ze mną Polciu.

Zupełnie spokojnie i swobodnie poszła Polcia za

nim, lecz gdy jéj trudno było wyjść po schódkach, Barbox Bracia wziął ją na ręce i wyniósł pod górę.

(Dok. w n. nrze.)

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki

Ciąg dalszy.)

Panienka z dziecinną trwogą obejrzała się w koło, spojrzała na poszarpany otwór skały, przez który wypływały jasnozielone, przeczyste dunajcowe strumienie i rzekła:

— Kto wie jakie tam w głębi téj skały zostały pamiątki z owych czasów?

— Oprócz stalaktytów, żadnych nie ma. Widocznie dopiero późniéj słodkie wody wyżłobiły sobie ten tajemniczy chodnik przez góry.

— Czy tam kto był wewnątrz?

— Seweryn Goszczyński z przewodnikiem zapuścili się raz w tę jaskinię; droga z początku wcale nie zła, tylko zbyt zimna woda, przez którą wciąż iść trzeba, (bo strumień wypełnia całą szerokość otworu), doknezliwie daje się nogom we znaki. — Daléj sklepienie otworu tak się zniża, że Goszczyński i jego przewodnik na czworakach pełzać musieli, dotykając prawie twarzą powierzchni wody. Zapałki i pochodnie umocowali na grzbiecie, aby nie przemokły. W końcu po téj męczącéj przeprawie dostali się do obszernéj jaskini, która oświecona pochodniami, wspaniały przedstawiała widok. Podłogę jéj stanowiła szyba ciemnéj wody, szeroko rozlanéj, sklepienia fantastycznie pozałamywane, pełne stalaktytów, z których woda z szelestem zciekała, przypominały wnętrza owych zaklętych pałaców, o których piastunki nam prawią. Czerwony blask płomienia czepiąc się ścian, ślizgając się po powierzchni wody i gładkich stalaktytach, podnosił urok tego podziemia, Tutaj mogła powstać legenda o uśpionych wojskach Bolesława, które po skończonych dniach pokuty wstaną na bój.

Prawiłem jéj jak-stary serbski gęślarz. Słuchała z wpółotwartemi ustkami, z oczami mrugającemi od ciekawości; ją bawiły jeszcze takie legendy, podania. Późniéj.... późniéj będą ją zajmować tylko wtedy, gdy jéj to opowiadać będzie narzeczony lub kochanek. Rad że znalazłem słuchacza, nie myślałem przerywać opowiadania i ciągnąłem daléj:

— Znam jeszcze dwie większe groty w téj okolicy. Jedna na Magórze, do któréj się wchodzi po dość stroméj pochyłości. Jest to pieczara dość dużych rozmiarów, pełna zakrętów, fantastycznych ganków — ściany jéj są mleczno-białym stalaktytem jak skorupą okryte. A druga grota....

Silny plusk wody i krzyk przerwał mi opowiadanie, odwróciłem się szybko i zobaczyłem parę bucików, szal, kapelusz panama i ręce w rękawiczkach, ruszające się wśród białéj piany; właściciela ich chwilowo nie było widać. Pobiegłem szybko z ratunkiem, uchwyciłem wystające ręce i wyciągnąłem z wody kuzynka wystraszonego, bladego, przemoczonego. Powodem téj niespodziewanéj kąpieli był komar. Kuzynek bowiem, jak się późniéj dowiedziałem, był specialistą, studjował muchy i komary, téj gałęzi oddał się cały, utrzymując, że wszechstronność nas zabija. Ciocia i panienka szanowały ten uczony popęd w kuzynku, i jakikolwiek owad pod oczy im podpadł, wołały natychmiast Lolusia, by go zapytać: co to? — Loluś wtedy zwykle nasadzał szkiełka na oczy, ręce umieszczał dla powagi w kieszeniach pantalonów i wydawał wyrok: „jest to rodzaj komara“, albo „to nie komar“. Otóż teraz Loluś spostrzegł na drugiéj stronie rzeki na krzaczku akonitu siedzący jakiś owad skrzydlaty, a chcąc się bliżéj przekonać, czy to jaki gatunek komara czy nie, zbliżył się tak do rzeki, że pośliznął się, stracił równowagę i wpadł między szumiącą wodę, opłacając przymusową kąpielą przywiązanie swoje do umiejętności o komarach i muchach. Ośmieliłem się proponować przemokniętemu uczonemu, aby wziąwszy przewodnika, poszedł naprzód do Smytniańskiego szałasu i tam wysuszył się bez świadków. Poszedł — a mnie ten przypadek obdarował rączką pięknéj Paulinki, która wsparła się na mojém ramieniu. O! błogosławiłem komary i specjalistów.

-- Nie dokończyłeś mi pan — odezwała się po pewnéj chwili moja towarzyszka -- o téj drugiéj grocie.

— Pani amatorka jaskiń, jak widzę. Myślałem, że pani pamięć o wątku mego opowiadania utopiła w nurtach, w których skąpał się jéj kuzynek.

— No, no, bez dowcipów, mów pan gdzie ta druga grota.

— Minęliśmy ją, wchodząc w ten wąwóz. Uważała pani po lewéj stronie za rzeką prostopadłą ścianę wysoką, stanowi ona bok góry Upłaz. Na jéj szczerbatych krawędziach w jedném miejscu jest otwór w kształcie bramy, poza nim czerni się drugi, który stanowi wejście do jaskini. Oba te wejścia są tak dobrze skryte w gąszczu drzew i krzaków za skałą, że tylko dobrze znający miejscowość, trafić do nich może. Górale zwą tę jaskinię „Zbójecką“.

— Więc tam są zbójcy? — zawołała uradowana panienka.

— Przynajmniéj byli. Są tego widoczne ślady: łoże szerokie rękami ludzkiemi wykute i komin zczerniały od dymu i ścieków deszczowych. Od głównéj groty rozchodzą się skryte wązkie kurytarze. Jednym z nich idąc, doszedłem nad samą spadzistość wąwozu; wierzchołek świerka dotykał otworu, a u nóg tego świerka kołysał się wierzchołek drugiego niżéj rosnącego, tak,

iż zręczny człowiek z łatwością mógł po téj drabinie świerków dostać się z jaskini na spód wąwozu.

— Jaka to szkoda, że teraz zbójców nie ma.

— Pani żałuje, że nie może się łatwo pozbyć swego łańcuszka i zegarka. Jeżeli o to idzie, to powiem pani, że są.

— Co pan mówisz? — zawołała trwożliwie, oglądając się wkoło.

Rozśmiać się musiałem z tego nagłego przejścia od życzenia do obawy. Był to kontrast chorobliwéj fantazyi i zdrowego rozsądku. Pierwsze powstało zapewne pod wpływem cioci, drugie było wrodzoném uczuciem zachowawczém. Fantazja pragnęła romantycznych przygód, okropności, niebezpieczeństw, a rozsądek nakazywał ich unikać. — Nie pierwszy raz spotykałem się z podobnym egzemplarzem. Znałem panienkę, która naczytawszy się Suego i Dumasa, wzdychała za strasznemi przygodami, pragnęła w dziewiczych lasach Ameryki szukać legowiska ryczących lwów, tygrysów, lampartów i Bóg wie jakich potworów. Wtém przed nogami jéj poskoczyła sobie niewinna żaba, panna krzyknęła i zemdlała. — Gdy przyszła do siebie, spytałem jéj: kiedy pojedziemy polować na lwy? — Dziwna rzecz jak chorobliwemi szlakami przeszła poezja, kiedy dziś zbójca i zbrodniarz więcéj budzą zajęcia, są poetyczniejszym tematem niż cichę prace i usiłowania poczciwego człowieka, zwalona chata w krajobrazie więcéj ma dla nas uroku, niż porządny domek, z którego praca wygnała nędzę. Wszyscy hołdujemy tym koszlawym pojęciom estetycznym, ale najwięcéj młode paniątka, które z książek uczą się czuć piękno wprzód, nim je sercem poczują.

— Cobyś pani powiedziała — rzekłem bawiąc się zakłopotaniem panny — gdyby z za tego załomu wychylił się zbójca i rzucił się na nas?

— Pana obowiązkiem byłoby bronić mnie.

— Gdybym jak bohaterowie książkowi miał pistolet, szpadę lub przynajmniéj kij; ale tak z gołemi rękami to kto wie, czybym dotrwał heroicznie na stanowisku.

— Pan sobie żartujesz ze mnie. To nie ładnie. A ja dziecinna chciałam wierzyć temu.

— Nie zwodzę pani. I teraz nie brak takich indywiduów, tylko że ich nie zwą już poetycznie bandytami, opryszkami, ani nawet zbójcami, ale poprostu rabusiami.

Tu opowiedziałem jéj historją Mateja, o ile sam wiedziałem.

— Nie daleko jego mieszkania, wśród zlepu dwóch gór, jesł również pieczara, o któréj pani powiedzieć zapomniałem. Nie jest duża, ale ma charakter dziki i ponury, nie rozszerza się horyzontalnie, ale spada ukosem na dół jak piwniczne sklepienia. Dno jéj pochyłe zasypane jest kamieniami, przegniłemi czarnemi gałęziami i grubą warstwą żółtych liści, przemokłych od wilgoci sączącéj się ze skały. Grzęznąc w tym mokrym dywanie dziwiłem się, zkąd tyle liści tutaj znaleść się mogło, gdy naraz zobaczyłem w górze światło, przecinające jasną smugą ciemności. Światło padało z góry przez otwór, podobny do okien więziennych, głęboko w mur wsuniętych. Nad otworem szaleściały gałęzie i liście lasu rosnącego ponad pieczarą. Te drzewa każdéj jesieni nowe warstwy liści rzucają w ciemną pieczarę; czasem spruchniałe drzewo stoczy się w nią z łoskotem. Właśnie koło jednego takiego drzewa nanieciliśmy ogień, żywiąc go patykami i sośniną, z których więcéj było dymu niż ognia. Za tą gęstą zasłoną dymu gryzącego oczy, przy krwawém oświetleniu płomieni, w burkach, szalach i kapeluszach, wyglądaliśmy bardzo na rozbójników — a góra zionąca dym dwoma otworami, bardzo przypominała kratery. Szkoda, żeś pani nie widziała téj sceny — i wulkan i rozbójnicy byli wcale nie niebezpieczni, a dawali pojęcie rzeczy. Było to coś jak przedstawienie teatralne. Mogę pani na pamiątkę z téj pieczary ofiarować szarotę (czyli jak ją w Alpach zwią: różę alpejską), a któréj pełno rośnie koło czarnego otworu téj groty.

— Nie, jak mamę kocham, pan na serjo zaczyna drwić z moich upodobań. Doprawdy, że zacznę się gniewać.

— Ależ nie drwię pani — mówiłem przekomarzając się panience rozdąsanéj — mówię całkiem na serjo. — Czy pani nie chcesz przyjąć tego kwiatu, uprzedzam, że jest piękny i trwały.

— Kwiat chętnie przyjmuję; ale szyderstwa nie — rzekła, robiąc zagniewaną minkę.

— Ależ pani, to takie niewinne szyderstwo.

— Ciekawam, co pan nazwałby winném szyderstwem?

— Gdybym zamiast kwiatka ofiarował pani na pamiątkę zgniły listek z pieczary.

— Pan jesteś okrutny, nieznośny — rzekła wyrywając swą rękę zpod mego ramienia.

— Na przeproszenie dam pani piękną legendę.

— Z któréj się pan potém wyśmiejesz.

— Nie będę mógł, bo się kończy krzyżem i mogiłą.

— No, to mów pan.

— A rączka —?—

— O! nic z tego, aż pan przeprosi, wszak legenda ma być przeproszeniem.

— Więc zaczynam. — Czy widzisz pani tam w cieniu świerków przy drodze ten krzyż drewniany, popielaty. Krzyż stoi na małém podniesieniu z ziemi, gęsto mchem obrosłém, a wśród mchu poziomki jak krople krwi się czerwienią. Krzyż jak pani uważa ma za podstawę duży okrągły kamień, na którym wyraźnie znać ślady tarcia. Na krzyżu jest wycięty napis: „I nic nad

Boga". — 7go sierpnia 1852. — Krzyż i napis pochodzą od Wincentego Pola, który w owym roku zwiedzał te miejsca i słyszał tę legendę. — Po drugiéj stronie drogi, tuż nad rzeką, leży drugi kamień młyński, podobnéj co ten wielkości. — To są wiadomości przedwstępne, a teraz zaczynam legendę:

Za starego króla —

— Zygmunta? — przerwała panienka.

— Legenda nie podaje bliższych szczegółów. Za starego króla.

— Ach, jakaś mogiła, pewnie samobójcy — wykrzyknęła ciocia, zbliżając się z resztą towarzystwa.

— Właśnie pan mi o niéj opowiada — odezwała się Paulinka.

— Ach, prosimy, prosimy.

— Zaczynam więc: za starego króla.

— To temat dla pana — rzekła ciocia do Ksawerka — siadaj pan obok mnie i słuchaj.

Ksawerek zrobił duże oczy nierozumiejąc słów cioci.

— No, więc? — rzekła niecierpliwiąc się panienka.

— Otóż za starego króla, kiedy w tych miejscach dobywano rudę złota, jeden z młynarzów trących rudę, człowiek ogromnéj siły, założył się, że bez niczyjéj pomocy przewiezie te dwa kamienie młyńskie przez wąwóz kościeliski. — To zdawało się niepodobieństwem, bo jeżeli dziś ta droga trudną jest do przebycia ładownym wózkiem, to wtedy zawalona kamieniami, tém większe stawiała trudności. Zakład wypadł właśnie w niedzielę; młynarz jednak nie zważał na to i zaprzągnąwszy parę szkapiąt, gnał je tą drogą nadnosząc wozu, gdzie była trudniejsza przeprawa. — Takie zuchwalstwo przeciw Bogu, naruszenie święta i zaufanie w własne siły, nie mogło zostać bez kary. W tém oto miejscu, na którém teraz jesteśmy, wóz się przechylił i jeden kamień przygniótł młynarza, a drugi stoczył się do rzeki. Siła wyższa zadrwiła z siły człowieczéj i ukarała ją.

— Więc my siedzimy na jego mogile?

— Nie. Tam daléj na lewo od drogi, gdzie ta kupa uschłych gałęzi — tam ma być mogiła. Każdy przechodzący góral rzuca na nią gałęzie, które uschnięte w trzy lata palą.

— A to na jaką pamiątkę?

— Na pamiątkę grzebania umarłych, do których dawniéj nie trzymano osobnych grabarzy. Wszyscy oddawali tę usługę. W całéj legendzie ten zwyczaj stary daje mi się najcenniejszym zabytkiem.

— A legenda czy prawdziwa? — spytała Pawcia.

— Jak każda legenda; podstawa na któréj urosła, prawdziwa: ale fantazja ludu zarosła i upstrzona, że nie widać z niéj często nic, prócz sensu moralnego. A teraz, kiedym się wywiązał z przyrzeczenia, proszę o rączkę. Przechodząc koło legendowéj mogiły, rzuć pani na nią zamiast gałązki, resztki swego zadąsania. Za trzy lata ktoś je podniesie uschnięte i spali.

Podała mi rączkę, na twarzy nie było już ani dąsów, ani uśmiechu; ale powaga i zamyślenie.

— Czy panią legenda tak zasmuciła? — spytałem.

— Myślałam — rzekła powolnie — dla czego po naszéj tu bytności za trzy lata śladu nie zostanie, a ten człowiek, co tak zawinił przeciw Panu Bogu, tak długo żyje w pamięci ludzkiéj.

Jakże pięknie jéj było z tém na pół filozoficznem zadumaniem; wyglądała jak dzieciątko co przymierza dziadka okulary.

— Zbrodnie — odrzekłem — pamięta ziemia, a dobrych ludzi takich jak pani, pamiętają ich siostry — anioły w niebie. Tak było zawsze. Pani zapewne pamięta z lat pensjonarskich historją Tytanów? Tu było coś podobnego. I tu i tam usiłowano szturmować potęgę niebios kamieniami. — Oba wypadki żyją w podaniach. A teraz z czasów przedhistorycznych, legendowych przejdziemy w epokę pewniejszych, bliższych faktów. Gdy wyjdziemy z wąwozu, opowiem historją lawiny na Ornaku.

— Zdaje mi się, że nie dojdziemy do tych historycznych czasów. Patrz pan, mgły zakrywają już wierzchołki skał.

— Nie ma obawy. Za chwilę podniesie się znowu ta lekka gazowa zasłona i odsłoni nam błękity i różowo-niebieskawe skały piękniejsze i świeższe niż przedtém. Jest to rodzaj kokieteryi ze strony przyrody.

— Pan jeszcze gotów przypuścić, że ta kokieterja adresowana jest wprost do pana.

— Czemu nie? — Wiedz pani, że nie ma tak lichego stworzenia, któremuby piękna kobieta pozwoliła być obojętném na jéj wdzięki, ignorować się.

— Ależ mówiliśmy o przyrodzie.

— No tak.

— A pan mówisz o kobietach.

— O kobietach? to przez pomyłkę, czysto przez pomyłkę, pani.

Pokiwała główką niedowierzająco i pogroziła paluszkiem.

— Łatwo się mógłem pomylić. Spojrzyj pani tylko na tę białą wysmukłą skałę, któréj szczyt ubrany w gęste krzaki kosodrzewiny, wystercza ponad mgły — czyż nie ma ona podobieństwa do młodéj kobiety w mirtowym wieńcu i w białéj zasłonie? Brakuje tylko lekkiego krótkiego deszczyku, któryby nam przypominał przedślubne łzy panieńskie. Otóż i rosi.

— Ależ i grzmi.

— To organy olbrzymie grają *veni creator* — rzekłem z uśmiechem.

— Więc będzie i burza.

— Nie nad nami. O! mgła musnąwszy lekko skały,

ustąpiła, ostre wierzchołki świerkowego lasu rozpruły ją i rozszarpały na drobne kawałki; nad nami niebo przeczyste, zakończone kotarą téj ciemnéj chmury, którą wiatr ku północy odnas ponosi. — Tak rozmawiając wyszliśmy z wąwozu w szeroką lesistą kotlinę, którą zakończały sine, granitowe ściany Pysznéj. — Przez drzewa widać już było Smytniański szałas, na pagórku otoczony trzodą białych owiec. Zatrzymałem się z panienką na mostku, by jéj pokazać skałę wśród lasu, przypominającą kształtem posąg Minerwy z hełmem na głowie. Nadeszła i ciocia i napełniła ciszę panującą w powietrzu wykrzyknikami. Ksawerek szedł z nią jak z krzyżem, umęczony, znękany. Korzystając z chwilowego zatrzymania, coprędzéj uwolnił się od niéj i zbliżył do mnie z tragicznym wyrazem na twarzy.

— Bój się Boga, czego ta baba chce odemnie? Ciągle mi gada, że tylko tacy ludzie jak ja mogą zrozumieć jéj duszę, a ja nic a nic nie rozumiem. Ręki już nie czuję od tego kościstego ciężaru; patrz, cały mankiet mi pomięła. Niech będzie co chce, ja dłużéj nie wytrzymam.

— Cóż chcesz robić?

— Wrócę cichaczem napowrót.

— Ależ to niegrzecznie.

— Mniejsza o to, byle było wygodniéj.

— I na Pyszną nie pójdziesz z nami?

— A po co? żebym jeszcze bardziéj zniszczył moją garderobę? Ja nie wiem, co wy w tém pięknego i przyjemnego widzicie, żeby się awanturować po takich złych drogach dla zobaczenia trochę wody i kamieni — toż samo mogę widzieć i w mieście. A stokroć przyjemniéj przecież chodzić po granicie ułożonym w kostkę na bruku krakowskim, niż tu drapać się po nieociosanych bryłach, na których moje buciki całkiem prawie już się zdarły i formę straciły. A do tego jeszcze ta ciocia, ta ciocia. Bądź zdrów.

To powiedziawszy, drapnął w krzaki, zostawiając mnie w najprzykrzejszém położeniu. Co tu powiedzieć cioci, gdy tęsknemi oczami szukać będzie poety koło siebie? — Ha! powiem, że poczuł w sobie natchnienie i poszedł w krzaki. Ciocia uwierzy, że poemat będzie o niéj lub do niéj i żałować tylko będzie, że jeszcze nie zrobiła téj lub owéj pozy, że jeszcze nie powiedziała mu tego lub owego frazesu, któryby bardziéj jeszcze mógł natchnąć poetę. — Tymczasem rozmyślałem, kogoby z moich znajomych dać znowu na ofiarę sentymentalnemu bóstwu staropanieństwa i uczynić laską, podpierającą wątłe siły szanownéj cioci. Wzrok mój padł na Cyrjak P., stojącego opodal towarzystwa pod drzewem. Byłto także jeden z dawnych moich kolegów szkolnych. Kiedyś (o miłe wspomnienia) wspólnie wycieraliśmy z sobą kurze ławek szkolnych; późniéj los nas rozdzielił: ja po szczeblach kilkunastu tysięcy rymowanych wierszy wdrapałem się w mglistą krainę marzeń i poezyi — a Cyrjak poszedł realną drogą pracy, poważnéj nauki i został profesorem kaligrafii. Ta myśl, że na swojém stanowisku przyczynia się do szczęścia ludzkości pracując nad jéj oświatą — napawała go dumą, która się objawiała na zewnątrz poważnemi ruchami i zamyśloném czołem. I w téj chwili stał poważny, zamyślony pod drzewem — z ciemnych jego oczów tryskały iskry kaligraficznego geniuszu, myśl jego pracowała zapewne nad wynalezieniem nowego ozdobnika do litery N., a palcami małéj białéj ręki (była to słaba strona jego wielkości) przebierał niby po strunach harfy po długiéj brodzie, którą zwyczajem mędrców starożytnych starannie pielęgnował. Zbliżyłem się ku niemu.

— Dla czegóż tak się odosabniasz? — spytałem.

— A cóżbym tam robił w towarzystwie? — Ty wiesz dobrze, że mnie próżne i czcze rozmowy nie bawią, ja jestem człowiekiem na serjo. — Tu chwycił się znowu palcami za brodę, jak człowiek próbujący grubości sukna.

— Ależ damy są same, należałoby podać rękę.

— Czy myślisz, że to wypada?

— Dla czegóż nie, wszak widzisz, że ja prowadziłem siostrzenicę.

— Co innego ty — widzisz, ja jestem człowiekiem ze stanowiskiem.

— Dla tego będziesz prowadził starszą damę; jest to kobieta miła, wykształcona. —

— Wykształcona? — Więc widziałeś jéj pismo?

U Cyryjaka kaligrafia była miarą wykształcenia; pismo — to charakter — mawiał. I nie mógł nigdy przebaczyć Napoleonowi, że nieczytelnie bazgrał.

— Gdyby ten człowiek umiał pisać ładnie — powtarzał nieraz — byłby stanął u szczytu wielkości.

Uspokoiłem więc obawę jego względem cioci, zachwalając jak mogłem jéj pismo, którego nigdy nie widziałem.

— To dobrze — rzekł poważnie — bo widzisz mnie nie bawi towarzystwo ludzi niewykształconych.

— Więc chodź.

Wziąłem go za rękę i poprowadziłem przed oblicze cioci.

— Pan Cyryjak P. professor!!! — rzekłem uroczyście, potém spiesznie podałem rękę Paulince i ruszyliśmy naprzód. Paulinka często jeszcze zwracała główkę w stronę Minerwy, ja patrzałem przed siebie, szukając wśród kamieni najwygodniejszéj drogi dla jéj drobnych nóżek. Wtém nagle ujrzałem Lolusia biegnącego ku nam w największym negliżu i przestrachu. Nie wiedziałem co począć w tym wypadku z moją towarzyszką. Widok był tego rodzaju, że należało spiesznie spuścić kurtynę i napisać na wierzchu: „damom i dzieciom wstęp wzbroniony“. W braku kurtyny chwyciłem się innego sposobu.

— Niech pani zamknie oczy — rzekłem do Paulinki, która zwrócona w stronę Minerwy, nie widziała jeszcze tego, com ja widział.

— Czemu mam nie patrzeć? — spytała.

— Później powiem, teraz zamknij pani oczka i nie patrz przed siebie.

Pokazało się, żem niewłaściwy wybrał sposób. Kobiecie powiedzieć: „nie patrz“, znaczy tyle, co zachęcać ją do patrzenia. Ciekawość przemogła — Paulinka spojrzała — potém krzyknęła i spłoniona uciekła do ciotki. Loluś nie zważał na krzyk, na przyzwoitość, przypadł do mnie zdyszany, przestraszony i chwycił mnie za rękę. Gdyby nie przestrach, mógłbym mniemać, że kuzynek zrobił jakieś wielkie zoologiczne odkrycie w dziedzinie komarów i much, i zapomniał się, jak grecki mędrzec lecący ze słowem „eureka“ na ustach.

— Pa... pa... pa... panie! — zawołał zdyszany.

— Ależ panie Karolu, co panu jest — może wilk?

— Nie — jestem o... o... o... kra... dziony!

— Jakim sposobem?

— Spałem — zdrzymnałem się trochę — suszyłem się i okradziono mnie. Tyle zostało, co na mnie.

Było to bardzo nie wiele, bo oprócz bucików, rękawiczek, krawatki i kukera, Loluś mało co więcéj miał na sobie.

Uspokoiłem go jak mogłem — wziąłem pod rękę, odprowadziłem na bok w krzaki jak Ulissesa i poszedłem szukać złodzieja. Szczęśliwie trafiłem na trop: na kamieniach otaczających Smytniańską polanę i na ścieszce wiodącéj do szałasu, widziałem leżące niektóre części ubrania Zoologa, jak rozćwiertowane członki brata Medei. Widocznie złodziej w pospiechu je pogubił. Pozbierałem je i ostrożnie szedłem za śladem. W krzakach na prawo od szałasu coś zaszeleściało — zbliżyłem się po cichu.

Za chwilę potém wracałem do Lolusia, niosąc jego ubranie jak triumfator.

— Są? — zawołał ucieszony.

— Wydarłem im przemocą.

— Och złoczyńcy! To zwierzęta, nie ludzie.

— Zgadłeś pan.

— Jakto?

— Bo to były psy, które suszące się pańskie rzeczy wzięły sobie widać za doskonały przedmiot do zabawy i porozuosiły je targając.

— Psy? — rzekł Loluś z głupią miną biorąc odemnie ubranie. — Ktoby się tego był spodziewał?

W jakim stanie mogły być te suknie targane białemi zębami liptowskich psów i wleczone po kurzu, a wilgotne jeszcze — każdy sobie łatwo wystawić może.

Zostawiłem Lolusia strojącego się w odzyskane szaty — a sam wróciłem do pań, które zatrzymały się opodal, i dowiedziawszy się przez wysłanego do Lolusia Cyryjaka o têm co się stało, oczekiwały w trwodze i niepewności końca.

— No i cóż? — spytały niespokojne.

— Wszystko dobrze. Pan Karol jest już w możności zrobienia swojéj toalety.

— A złoczyńcy?

— Uciekli.

— To musieli być rozbójnicy tatrzańscy. Prawda panie? — spytał Paulinka półgłosem, tajemniczo. Eh, jak mamę kocham, pan się znowu śmiejesz. No, przecież uczciwi ludzie tego nie zrobili.

— Nie.

— Więc któż taki?

— Psy.

— Pan sobie żartuje ze mnie, a to nieładnie, niegrzecznie, będę się gniewać. — I tłukąc drobną piąsteczką o dłoń, odwróciła się na bok zadąsana.

— Ależ nie żartuję z pani.

Tu opowiedziałem jéj całą historję suszącéj się garderoby Lolusia; wybuchnęła głośnym śmiechem i w szaloną wpadła wesołość. Z rozkoszą przypatrywałem się tym porywom dobrego humoru mojéj towarzyszki, która jak ptaszek lub wiewiórka trzepotała się i śmiała. Uważałem jednak, że kiedyśmy weszli do ciemnego lasu świerków, których nagie pnie, stérczące wśród jałowéj ziemi zasypanéj uschłemi szpilkami, przypominały kolumny rozwalonéj świątyni okryte od góry zielonością— poczęła tracić panienka humor, wesołość, stawała się poważniejszą — nie skakała już po kamieniach, które jéj zawalały drogę; ale zatrzymała się na mnie i rzekła:

— Jaki to dziki i smutny jest ten las. Mnie aż strach zbiera. Czy pan nie doświadczasz tego samego uczucia?

— Dziwnéj rzeczy pani wymagasz. Chcesz, żeby mężczyzna przyznał się do trwogi. Miłość własna nakazywałaby mi powiedzieć: nie; będę jednak szczérszym niż inni i przyznam się, że ulegam wpływom miejscowości. Goszczyński powiada, że jest jakiś las w Tatrach, w którym człowiek z trudnością tylko oprzeć się może kuszącéj myśli samobójstwa. Nie miałem dotąd ochoty szukać tego lasu, i nie wiem, o ile w têm prawdy, ale to pewna, że każda miejscowość inaczéj działa na humor i usposobienie człowieka. Czy to, co sprawia wrażenie jest duchem przyrody, jak chcą panteiści, czy poprostu wpływem fizyologicznych czynników — mniejsza o to, dość, że tak jest. — Tam pod Smytniańskim szałasem, przy polance pachnących kwiatów, przy wesołych szmerach wody i w słonecznêm ciepłém oświetleniu byłaś pani całkiem inną, niż tu w ponurych, szarych cieniach tego lasu. — Korzystam z tego chwilowego zasępienia, będzie ono odpowiednią uwerturą do historyi, którą chcę pani opowiedzieć. Oto właśnie las się przerzedza — za chwilę ujrzemy miejsce katastrofy. Tam na stoku téj góry, gdzie teraz szare,

suche pniaki sterczą jak nagrobki żydowskiego cmentarza, zielenił się niegdyś piękny las. Poniżej lasu nurtowały górę wązkie kurytarze, któremi wywożono wykopaną rudę. Obok kopalni stał szałas wystawiony dla robotników, którzy tutaj i zimą pracowali. Rodziny na saniach dowoziły im żywności i odwiedzały ich. Jednego razu parę takich sań wybrało się z Zakopanego do kopalni. Pojechały i nie wróciły. Pozostałe w domu sieroty płaczem swoim rozdzwoniły na trwogę we wsi i zaniepokoiły sąsiadów; wysłano na zwiady do kopalni. Wysłani nie znaleźli ani kopalń, ani szałasu — straszliwa lawina (rzecz niesłychana w Tatrach) stoczyła się z góry Ornaku, zdruzgotała las i mogiłą ze śniegu i drzew przysypała nieszczęśliwych. Wieść ta zalarmowała wieś, ruszono z pomocą. Z trudnością dokopano się po kilku dniach do szałasu, w którego ciemnych wnętrznościach leżały bez życia ofiary téj katastrofy. Dwie z nich zaledwo zdołano przywrócić do życia i od nich dowiedziano się o okropnych mękach, w jakich reszta skonała. —

— I to dawno się stało? — spytała mnie Paulinka, a w ciemnych jéj oczkach świeciły się łezki.

— Nie zbyt dawno. Znam parę dziewcząt we wsi, których ten wypadek uczynił sierotami; litościwi ludzie przygarnęli je i wychowali.

— Zdaje mi się, że gdzieś coś podobnego czytałam — rzekła usiłując sobie przypomnąć i marszcząc czółko zamyśleniem.

— W jednéj z moich powieści — „ojcowska wola, którą“...

Urwałem nagle spostrzegłszy, jak nieostrożnie wygadałem się z tajemnicą.

— Jakto? Więc to pan jesteś... ach! ciociu! — zawoła zwracając się w tył.

— Przez litość pani — zawołałem z pośpiechem — struchlały, że przed ciocią wyda się komedja, zechcij pani szanować moje *incognito*.

— Czemu? —

— Mam w tem powody. Zrób mi pani tę łaskę za jaką bądź cenę.

— Za wierszyk do albumu — dobrze? — podchwyciła sprytna figlarka.

— Naznacz pani inną cenę — ta moneta wyczerpnęła się już u mnie.

— Nie ustępuję. — No?

— Ha, cóż robić, przystaję. —

— Czego chciałaś odemnie Paulinko? — spytała ciocia.

Panienka była zakłopotana co odpowiedzieć. Wyręczyłem ją.

— Chcieliśmy panią uprzedzić, że nie długo będziemy popasać przy Pyszniańskim szałasie, który się nam anonsuje przez ten błękitny dym nad lasem. (Ciąg d. n.)

Wiara, nadzieja i miłość.

Wiara to przy drzwiach z wodą święconą studzienka:
Kto ją ma stróżem w domu, przygód się nie lęka.

Wiara to łaska, wiara nagroda najwyższa;
Im więcéj jéj ma dusza, tém jest niebios bliższa.

Wiara to skrzydło ducha, pod ciałem ukryte,
Paproć cudowna, kwiecie niebios nie rozwite.

Nadzieja to jutrzenka, co blask rzuca w okno,
Gdy kwiatki na pół senne we łzach rosy mokną.

Nadzieja, ciche, jasne światło Afrodyty,
Prowadzi gwiazd gromadę na błękitu szczyty.

Nadzieja to nad wodą modry niezabudek,
Co mówi: Bóg to dobroć, niech nie płacze ludek.

Miłość to przed domostwem lipa staroświecka.
Co daje chłód dla starca, miód słodki dla dziecka.

Miłość to najpiękniejszy kwiat w ziemi ogrodzie,
Róża, co wiecznie nęci, chociaż wiecznie bodzie.

Miłość wszystko zrozumie, wszystko wytłumaczy,
Miłość piekło zwycięży, bo miłość przebaczy.

Józef Sęp.

SZCZĘŚCIE.

Życie człowieka — to kłopotów morze,
Na każdym kroku przepaść czyha zdradnie,
Nikt konieczności bronić się nie może —
A szczęście — niby blada perła na dnie.

Są, którzy za nią lecą w dzikie fale,
I prawie każden w dzikich falach ginie;
A kto jéj ręką dosiągnie zuchwale —
To perła szczęścia w nic mu się rozpłynie.

M. T

Wystawa powszechna.

VII.

Wychodząc z pałacu: wypada jeszcze zatrzymać się w galeryi maszyn, żeby zobaczyć, jak się tu rodzą przedmioty w poprzednich salach wystawione. Oto miech obrzuca sierścią miedziany wałec; zanurzywszy go w wodzie, zdejmują z niego gotową materję — wybijają, gładzą, obcinają, nadają formę, obszywają i w godzinie gotowy kapelusz. Tak samo można się przypatrzyć wyrobowi mydła, czokolady, cukierków,

obuwia; a dalėj znowu widzisz, jak na fortepianach wygrywają telegraficzne depesze — każdy klawisz jest jedną literą; za tém idą przędzalnie, o miljonach drucików, maszyny tkackie, przy których chłopczyki pilnują nadziergiwania nitek. A wśród téj mnogości maszyn huczą dwa olbrzymie organy; — tam warczą koła lokomobilów, wszystko w ruchu, wszędzie hałas i rwetes i zamięszanie, ale tylko pozorne. Gdyż cały ten olbrzymi ruch odbywa się z zegarkową dokładnością, wszystkie te siły zaprzęgła wola człowieka w nieubłagane karby, na swój pożytek. Widok téj materyi pracującéj świadczy o potędze ducha ludzkiego. A teraz od tego gwaru zwróćmy uwagę naszą na cichą, ręczną pracę, zwłaszcza na pracę kobiecą.

Po rozmaitych miejscach téj ogromnéj galeryi spotykamy grona dziewcząt pracujących: drukarnia obsadzona wyłącznie zecerkami, dalėj idą prządki, szmuklerki, kwiaciarki, które z niesłychaną szybkością i gustem wyrabiają sztuczne kwiaty z papieru, skóry, pierza, masy, z pomocą drucików i paciorków; złotniczki, emailniczki, tokarki, kapeluszniczki, szwaczki przy maszynach.... Praca ta robi wielce uspakajające wrażenie, widzimy bowiem jak coraz nowe gałęzie przemysłu stają się przystępnemi dla kobiet, przez co położenie społeczne, zwłaszcza ubogich dziewcząt musi się polepszyć. Szczególnie téż zwraca uwagę wielka skromność ubioru, prawie wszystkie są ubrane jednako: sukienki czarne i białe fartuszki poczynające się od szyi, a w staniku przewiązane. Tłum gości, który je ciągle otacza, ani ich mięsza, ani od pracy odciąga, a zagadnięte odpowiadają z miłą naturalną grzecznością *).

Skończyliśmy więc przegląd galeryj i czas nam do parku, musimy jednak jeszcze poprzednio odbyć maleńką wędrówkę gastronomiczną po tak zwanym promenoarze zewnątrz pałacu. Wystawa bowiem jest światem, gdzie potrzeba życia, i pragnienie życia przyjemnego tak się daje uczuć jak wszędzie zresztą. Zwiedzanie téż wystawy odległéj od miasta stało się jedynie przez to możebném i wygodném, że można tam zostać cały dzień i znaleść wszelkie ułatwienia, a nawet rozrywki: filją ajencyi dramatycznéj dla zaopatrzenia się w bilety do teatru, doktora i perukarza, fotele na kołach do objazdu pałacu i parku, pocztę, telegraf, a zwłaszcza restauracje i kawiarnie wszelkiego stopnia; kuchnie i służbę wszystkich krajów. Tam Holenderki podają curacao, Hiszpanki czokoladę, pomarańcze, oliwy, Szwedki puncz, mużyki rosyjskie kawiar, Neapolitanki lody i pasztety, garçony amerykańskie różne chłodniki zamorskiego wynalazku, Angielki rostbeafy, Bawarki piwo: kto ciekaw użyć mokki na sposób wschodni, gęstéj, gotowanéj z cukrem, może się rozgościć w pałacu beja tunetańskiego; w piwiarni wiedeńskiéj spotykają cudzoziemcy nieznane im kiełbaski i bułeczki; Chińczycy z restauracją, gdzie głównemi potrawami są: *yem-outan*, *yem-gout-tse*, *pêkos tang*, połączyli i teatr akrobatyczny. W pawilonie zasiadły tam dwie córki państwa niebieskiego, nazwiskiem: *Ichon a Lai i Lui a Choy* — a Paryżanie nie mogą się nacieszyć widząc, jak one jedzą, piją, palą cygara, rozmawiają i sprzedają swoje fotografie. W bazarze algerskim podaje Turek milczący zapaloną narghillę (fajka z przyrządem przeprowadzającym dym przez wodę) i filiżankę kawy. Siedząc tak, a raczéj więcéj leżąc na dywanie, w sali zacisznéj, któréj niemy murzyn u drzwi pilnuje, można tam nabyć wyobrażenia o życiu wschodniém, pojąć ciągłe marzenia Turka, rozkoszne zapomnienie o troskach i życiu: człowiek z Północy może się oddać temu na jakie pół godziny potém z nudów ucieknie z tego cichego świata marzeń do omnibusu — tak się nazywa bowiem wiecznie gwarna restauracja, gdzie co chwila setki osób się zmieniają. Ta gastronomiczna wędrówka jest niemniéj ciekawą, jak sama wystawa — można się tu przypatrywać obyczajom ludzi, a nadewszystko wypocząć i posilić, zwłaszcza, jeżeli kogo czeka jeszcze podróż po labiryntach czarownego parku, dokąd czytelników naszych zapraszamy.

VII.

Ścieszkami, które się wiją pośród najświeższéj murawy, skrapianéj bezustannie przez kołowrotne maszyny drobniutkim deszczem, pośród drzew, które albo wielkością swoją zdumiewają, albo obfitością rumianych owoców, błyszczących po gałęziach, zatrzymują oczy, pośród pałaców najrozmaitszéj budowy, i wszelakich fabryk, to znowu okalają stawy i wchodzą pomiędzy domowe zagrody, między szatry dzikich ludów, lub cudowne kwiaciarnie, a potém prowadzą nas na skały, pokryte tajemniczemi ruinami, z których spływa zieleń bluszczów i światło białych potoków, i zstępują do wnętrza cudownych grot stalaktytowych, do głębin rzymskich katakumb lub pną się na szczyt latarni morskiéj, takiemi ścieszkami pełnemi dziwów i cudów chodzi człowiek po parku tu i tam, niby w zaczarowanym świecie. Tutaj niepodobna już trzymać się kolejnego porządku, bo go i w parku być nie mogło; trzeba iść i iść, naprzód i na wszystkie strony, w koło i znowu się wracać, a co krok się zastanawiać. Tę wystawę w parku podciągnięto w prawdzie w katalogach do działów, znajdujących się w galerjach pałacu, ale ona sama dla siebie niby bezładna jest może najlepszym obrazem prac i dążeń ludzkich, najrozmaitszych i najprzeciwniejszych, ale których ujście jest je-

*) Szczegółowy spis okazów pracy kobiecéj znajdujących się na wystawie, umieścimy przy końcu niniejszych sprawozdań.

Także odnośnie do téj części wystawy podamy w przyszłym kwartale sprawozdania z dzieła p. t. *Frauenarbeit* — (praca kobiet), którego dążność i praktyczność powszechne uznanie zyskały. *(Red.)*

dno: doskonalenie się i szczęście. Ta jedna myśl wprowadza ład w ten chaos urządzony przez inżynierów — i ta jedna myśl może jedynie być czerwoną nitką w opisach sprawozdawcy, który jest przymuszony skakać z maszyny na drzewo, z drzewa na dno morskie pomiędzy raki i pająki itd. Ta myśl niechaj też i dla czytelników będzie przewodniczką, a poznamy w końcu, że jest to myśl zasadnicza, filozoficzna i najgłębszy cel całéj wystawy.

A więc mniejsza zkąd i jak zaczniemy byle daléj.

Oto budynek nieokreślonego kształtu, niby wieża; tłum ciekawych przygląda się przez okienka — wodzie. Tak, całą tę wieżę wypełnia woda, a w niéj przebywa jakieś stworzenie, o kształcie ludzkim. Ten człowiek-ryba czuje się tam u siebie, przechadza się, zabawia — a ma tam i meble, stół, rozmaite narzędzia, domino. Jest on przytém wcale towarzyski, podchodzi do szklannych szybek, wita gości i pokazuje im się zblizka. Dziwna glowa jego jest z grubéj skury, oczy duże, wypukłe szklanne, całe ciało z kauczuku. Otóż w takiém ubraniu nazwaném *scaphandre*, może człowiek wygodnie kilka godzin pozostać pod wodą. Do tego ubioru nieprzemakalnego, który tylko ręce zostawia wolne, należą jeszcze: pelerynka metalowa i kasko skórzane, uzbrojone w cztery szkła, pozwalające nurkowi patrzeć na wszystkie strony. Koło ust jest wentyl z kurkiem do wypuszczenia powietrza zgęszczonego przez wydechanie — zaś powietrze do wdechania przychodzi z góry przez rurę połączoną z kaskiem. Przyrząd ten służy dła nurków, łowiących perły i korale w głębi morza, lecz nierównie większa jest jego użyteczność, gdy chodzi o wykrycie dziur w okręcie, wysondowanie skał podwodnych, o oswobodzenie kotwicy zaplątanéj w podmorskie ziele. Takie próby podwodne nurków odbywają się także i na Sekwanie, oblewającéj park z jednéj strony.

Podobny do tego przyrządu jest przyrząd oddechowy, tylko, że człowiek w ubraniu tém jeszcze potworniéj wygląda. Wystawca robi jednak próby w obec wszystkich, nawet wobec dam, czém okazuje, że wcale nie dba na kokieterją. Może on pozostawać do 30 minut w warunkach zabijających oddech, ratować wpośród dymu i ognia, wstępować do fos i piwnic zapowietrzonych. Każda straż ogniowa i policja zdrowia, powinna mieć podobny przyrząd.

Obok znajdujemy łodzie do ratowania. Wystawiło je towarzystwo ratunku, zostające pod protekcją cesarzowéj Eugenii. Wartość ich polega na tém, że ołowiany środek przywraca łodzi równowagę nawet wśród największych bałwanów i burzy; woda dostawszy się wewnątrz, sama otwiera wentyle i wylewa się. Towarzystwo to szlachetne zaprowadziło już 33 takich lodzi na wybrzeżach oceanu.

Obok tych wodnych przyrządów morskich sterczy olbrzymia latarnia morska na 50 metrów. Niegdyś budowano te wieże z ciosu lub cegieł na skałach, i były nieruchome. Teraz inaczéj — oto ów wystawiony gmach zaraz po zamknięciu wystawy rozbiorą i zawiozą na miejsce przeznaczenia. Do kościoła nie wstąpimy, bo jest tam jedynie skład narzędzi i przyborów, czyli magazyn, za to zaprasza nas p. *Maréchal* do swojego pawilonu malowideł na szkle. Długo się trudzono, aby odnaleść sposoby malowania na szkle, mogącego oprzeć się zniszczeniom czasu i zachować świeżość, tak jak owe przepyszne okna, które tak czarujące rozlewają światło po starych gotyckich kościołach. Dzisiaj sztuka ta dosięga już doskonałości, delikatność barw, żywość i blask, kontrasta barw ciemnych i mdłych, nawet fotografie wsiąknięte niejako w szkło i kolorowane, a we wszystkiém poprawność rysunku i przedziwny gust — oto, czém można w tym pawilonie uraczyć oczy.

Żeby uraczyć serce, wstąpmy gdzieindziéj. Oto domki robotników, które sobie bądź to sami stawiają, bądź na wypłatę od panów fabryk dostają po cenie 2000 fr. (800 guld. w. a.), i stają się właścicielami, mają zabezpieczony swój własny dach. Jest to jedno z najszlachetniejszych i najdonioślejszych dzieł naszego wieku. To też fabryki w Mulhouse, gdzie są już całe osady z podobnych domków, a rokrocznie po 50 przybywa, otrzymały pierwszą nagrodę w grupie X, o któréj wyżéj była mowa. Domek taki obejmuje zwykle mieszkania dla dwóch rodzin, z dodatkiem ogrodu, piwnicy, komory. Domek okazany na wystawie, jest zamieszkały przez jednę rodzinę, i można go wewnątrz oglądać, z wyjątkiem jednéj izby, zamkniętéj pod tym zachwycającym pozorem, jak świadczy przybite ostrzeżenie: że dziecię śpi. Skorzystano tu z każdego kąta. Wchodzi się niby do przedpokoju, który jest zarazem kuchnią, jadalnią i garderobą — przyrządy kuchenne wspomniane wyżéj i miejsca zajmują bardzo mało i wcale żadnego odoru nie wywołują. Na prawo drzwi do wielkiego pokoju, a w głębi dwoje drzwi: jedne do piwnicy, drugie ślimacze na strych. Wszędzie porządek, czystość, świeżość, światło, ozdoby, zwierciadełka; nic prostszego i nic weselszego, jak ten przybytek pokoju i pracy. Kiedyż to u nas będą wsie takiemi domkami ubrane?

Nie mniejszą otuchą przejmuje serce kiosk, przed którym niezawodnie każda matka się zatrzyma. Jest to *crèche*, świątynia dziecięctwa, sanctuarium rozsądnéj, oświeconéj dobroczynności. Robotnica, która zarówno z mężem musi zarabiać na życie poza domem, nie potrzebuje się już kłopotać o swoje dziecię, które dotąd musiała zostawiać samo, bez opieki. *Crèche* odbiera je na cały dzień i daje mu wszelką opiekę — higeniczną i moralną. Matka może przyjść ile razy może przez dzień, nakarmić je — ona się nie rozdziela z niém,

tylko je powierza rękom światłym — nie najemnym. Zakłady te ratują rokrocznie we Francyi 100,000 dzieci, bądź to od śmierci, bądź od chorób i kalectw przedwczesnych — a z drugiéj strony kształcą i żywią uczucie macierzyńskie u tych biednych wyrobnic. W kolebce tych dzieci spoczywa odrodzenie ludu wydziedziczonego, któremu dziś ognisko domowe usiłują przywrócić.

K i o s k g a l w a n o p l a s t y c z n y przedstawia w ruchu maszyny i przyrządy, służące do trwałego powlekania metali powłoką złotą lub srebrną — siłami działającemi są tutaj elektryczność i chemiczny stosunek ciał. Wynalazek ten ulepszony odda wielkie usługi w umiejętnościach stósowanych, a już dzisiaj przyczyni się do dobrobytu, dostarczając stołowych narzędzi zdrowych, nie rdzewiących, a tanich. (Ciąg d. nast.)

TEATR. Wspomnieliśmy w poprzednim numerze, że ostatnie czasy nie mogą się zdobyć na dramat; scena posługuje się dawniejszemi, które mimo lat nigdy się nie starzeją i nie opatrzą, bo jest w nich prawda i silna gra namiętności ludzkich, dających pole do popisu każdemu znakomitemu artyście. Obok Szekspirowskich i Szyllerowskich arcydzieł w tym rodzaju, Marją Słowackiego mimo jéj wad umieścić musimy. Wprawdzie dramatowi samemu kilka drobnych niekonsekwencyj zarzuciłby można, ale sama postać Maryi tak na wskróś dramatyczna, tak pełna życia i prawdy, nadaje całości wartość wielką. W czasie, kiedy publiczność płakała nad cierpieniami Szillerowskiéj M a r y i k r ó l o w é j, apoteozowała jéj męczeństwo, Słowacki miał odwagę pokazać nam M a r j ą - k o b i e t ę, rzeczywistą, historyczną, ze wszystkiemi słabościami i cnotami. Ta świeżość i oryginalność pomysłu stawia Marją Sztuart Słowackiego w rzędzie znakomitszych dzieł. Są krytycy, którzy zarzucają poecie, czemu nam nie przedstawił Maryi Stuart jako królowéj, jako głowy partyi katolickiéj; czemu lekko tylko w słowach pazia i błazna zbywa szermierkę dwóch kościołów, kiedy mógł ją uczynić treścią całego dramatu. Taki zarzut jest to coś podobnego, jakby ktoś zarzucał Rafaelowi, czemu zamiast Śtéj Eulalii lub Eufrozyny malował Madonny; albo jakby ktoś miał za złe Mickiewiczowi, że wątku do epopei nie zaczerpnął z odleglejszéj przeszłości. Wybór treści i punkta widzenia są własnością autora — i nikt nie ma prawa mu ich narzucać. Autorowi podobało się przedstawić Marją Stuart t y l k o j a k o k o b i e t ę, a jako taką przedstawił ją mistrzowsko. Znakomita gra p. Modrzejowskiéj uwydatniła plastycznie myśl autora. Powiedzielibyśmy tylko, że w chwili, gdy Rizzio uskarżając się na jéj obojętność odchodzi, a Marja powodowana litością odzywa się do niego: „Rizzio" — p. Modrzejowska zanadto miłośnie wymówiła to imię, przez co ten ton głosu stał w niewytłomaczonéj sprzeczności z późniejszém jéj zachowaniem się względem Rizzia. Marja nie kocha nikogo prócz Botwela, ale nie ma siły odepchnąć od siebie tych, którzy ją kochają. Tę delikatną miarę artystka utrafić musi. W ogóle czy to z winy dramatu, czy artystki gra jéj z początku nie miała jednolitości; dopiero od śmierci Rizzia rozwinęła p. Modrzejowska całe bogactwo swego dramatycznego talentu — scena w Vtym akcie, gdy Marja oświecona krwawą łuną pożaru, ucieka po pokoju przed straszącém ją widmem Darnleja, śmiało wytrzyma porównanie z monologiem Franciszka Moora, oddanym przez najpierwszych artystów; nigdy może p. M. nie zdołała w dramacie tak porwać, przerazić i zachwycić — jak w téj scenie. Ale koroną p. M. był jeden ruch, świadczący o głębokich studjach i wysokiém artystyczném poczuciu. Było to w chwili, gdy Marja wskutek przepowiedni astrologa ma wizję tego, co ją czeka. Szklannemi oczyma patrząc przed siebie widzi gdzieś, daleko, Elżbietę tryumfującą, salę sądową — w końcu pniak nakryty całunem i kata. Krzyk przerażenia wydarł się z jéj piersi i upada; ale upada tak, jak gdyby miała kłaść głowę na pniaku pod topór katowski. Jest to ruch oryginalny i psychologicznie ogromnie prawdziwy. Marja Stuart pozostanie jedną z najlepszych ról p. M.

Gra p. Ładnowskiego syna nie pozostawiała nic do życzenia; mękę człowieka, który kocha, a widzi, że nie jest kochany i szamocze się między rozpaczą i zwątpieniem, a chwilową nadzieją — oddał p. Ł. z całą prawdą i bez najmniejszéj przesady. Nawet ów brak dworskiéj etykiety dla królowéj, który mu zarzucają, nie był wadą, daje on się łatwo wytłómaczyć tém, że postępowanie królowéj ośmielało zbytnie Włocha. — Deklamacja w chwili pożegnania z królową była wyborną.

Pomijając inne role, które jako mniéj ważne w dramacie, mniéj też dawały pola do popisu artystom; pominąwszy Duglasa, który ruchami i głosem zdradzał niewprawę — przechodzimy do Botwela:

Pan Benda wcale nie pojął charakteru, który przestawiał. Botwel p. Bendy była to mięszanina czułości (w scenie w ogrodzie), patetyczności (tamże) — i intryganctwa (w rozmowie z królową po śmierci Rizzia); gdy tymczasem Botwel nie powinien być ani czuły, ani patetyczny, ani intrygancki. To człowiek znudzony, przesycony życiem, trochę Narcyz Ramau, któremu nadzieja królestwa wytrąca z ręki truciznę. On nie kocha Maryi, chce tylko zużytkować demoniczną władzę, jaką ma nad nią na swoją korzyść. W obejściu się z nią nawet w najgwałtowniejszych scenach jest szyderczy, zimny, panujący nad sobą — i to właśnie robi Marją posłuszną jego woli. Tego wszystkiego nie znać było w grze p. B. Botwel, to potężny magnetyzer, a p. Benda zrobił z niego Wurma. W chwili, kiedy pyta królowéj: „kto ma zginąć" — p. B. nachylił się do ucha królowéj, jak zwyczajny intrygant. Takiemu nie byłaby się oddała Marja. Te słowa winien artysta mówić powoli, z naciskiem — powinien niemi zapuszczać sondę w serce Maryi i torturować je swoim spokojem. Następnie słowo „zginie"! wymówił p. B z uniesieniem i silném machnięciem ręki. Po co? — Botwel się do tego nie zapala, bo wtedy byłby sam zabił Henryka, a on Marją wyséła na spełnienie téj zbrodni. Również niepotrzebnie podniósł głos p. Benda, mówiąc: „ognia, ognia" — a w scenie z lampą brak było zupełnie zimnego, cynicznego szyderstwa. Gra p. Bendy składała się z kawałeczków różnych charakterów, nieprzystających wcale do siebie, gdy tymczasem Botwel jest jednolity i tę jednolitość przy głębszém zrozumieniu wcale nie trudno jest uwydatnić. Botwel powinien być znudzony, zimny, szyderczy, a mieć przytém ów demoniczny urok tajemniczych bohaterów Bajronowskich, który mu właśnie zjednywa serce Maryi. — I oto cała tajemnica charakteru Botwela. Spodziewamy się, że p. B. przy następném przedstawieniu s k o r z y s t a z tych wskazówek.

Przeszłéj zimy podniesiono w senacie francuzkim za poduszczeniem stronnictwa klerykalnego krzyki przeciwko najznakomitszym pisarzom jak Dumas, Sue, Michelet, pani Sand.... jakoby bezbożnym i niemoralnym. Były nawet głosy żądające, aby zakazano b i b l i o t e k o m l u d o w y m zakładanym po całéj Francyi, posiadać i pożyczać dzieła tych pisarzy. Ten chiński proces wywołał naturalnie oburzenie powszechne — a kiedy równocześnie zapowiedziano w Odeonie komedję przerobioną z powieści p. Sand p. t.: „Margrabia de Villemer" — powodzenie jéj już dla demonstracyi, było z góry zapewnione i powtórzono ją dotąd sto kilkadziesiąt razy. Jakkolwiek wartość téj sztuki jest niezaprzeczoną, jednak bez powyższéj okoliczności nie byłaby się nigdy stała takim dobrym interesem dla teatru, gdyż równej wartości komedje kończą tam nie-

raz swój żywot po jednêm lub dwóch przedstawieniach. Temat jest wcale zwykły, i u nas nieraz już w powieściach i w komedjach obrabiany. Uboga dziewczyna dostaje się w **obowiązek** jako lektorka — do domu arystokratycznego, pozyskuje przychylność wszystkich, a miłość synów margrabiny, z których jednego pokochała. Kolizja pomiędzy braćmi, kolizja uczucia z przesądami rodowemi podsycana nadto intryżkami baronowej, wdówki, zazdrosnéj o starszego syna margrabiny, kolizja z planami margrabiny, układającéj dla młodszego syna świetną partją, stanowią treść komedyi. Wartość sztuki stanowi trafne, jedynie autorce-kobiecie właściwe, dopatrzenie i kombinowanie najtajniejszych, delikatnych motywów i drgnień serca, drobiazgowa prawdziwość charakterów, a nadewszystko elegancki tok, połączony z dziwną prostotą i naturalnością w całém prowadzeniu — co jest ogromną w sztuce trudnością. W przedstawieniu na naszéj scenie — jakkolwiek w ogóle staranném, uroniono jednak co nieco z każdéj z tych trzech zalet. Palma wieczoru należy się pani **Wolskiéj**. Postać margrabiny jest trudniejszą do przedstawienia, niżby się na pozór zdawało Należy uwydatnić kilka odmiennych rysów: ociężałość starości i dbałość o salonową dystynkcją, dobroć serca i arystokratyczną dumę — i z tego wszystkiego utworzyć prawdziwą **wielką damę**. Pani Wolska oddała tę postać z wielkim taktem i zrozumieniem od początku do końca, należałoby jedynie twarz zrobić starszą. Postać lektorki, sympatyczna, głęboko serdeczna, w któréj nie ma „ani jednego włoska sztucznego“ — to jakby umyślnie dla talentu p. Modrzejewskiéj napisana, aby jéj dać moc wyciskania łez u widzów. Zrobimy tylko uwagę, (odnoszącą się również do ostatniéj sceny jéj roli w „**pojęciach p. Aubray**“), że kiedy dręczona przez cztery akta dochodzi nareszcie do tego, że może miłość swoją wyraźnie objawić, nie należy koniecznie czynić tego zbyt donośnym głosem i z bohaterskim gestem — owszem byłoby nierównie estetyczniéj i odpowiedniéj przedstawianemu charakterowi wymówić owe słowa: „**nad życie**“ ciszéj, skromniéj, a okazać ulgę, jaką to wyznanie sprawia znękanéj duszy, przez nadanie głosowi owego *timbre profond*, którym artystka nasza, ilekroć chce, dowoli rozporządza. Wielkie zadanie miał przed sobą p. Ładnowski (syn) i wyszedł z niego zwycięzko. Margrabia Villemer na wskroś patetyczny a cichy, targany melancholją i zgryzotami, a łagodny, głęboko-uczuciowy, a spokojny — postać taką, najtrudniejszą może w salonowéj komedyi oddał p. Ł. z prawdą, a nadewszystko z tém umiarkowaniem i panowaniem nad sobą, którego brak nieraześmy mu zarzucali. Przedstawienia tego dowodzącego, obok talentu, pracy i rozmysłu, możemy mu szczerze powinszować. Najwybitniéj francuzką jest niezaprzeczenie postać drugiego syna margrabiny księcia d'Aleria. Jest to mięszanina lekkomyslności i serca, dowcipu i honoru, a role tego rodzaju są bardzo właściwe dla p. Bendy. Oddał ją z swobodą i lekkością zajmującą.

Książę i baronowa d'Arglade powinni w sztuce utrzymać humor i ton komedyi. Jedna z tych ról źle obsadzona krępuje mimowolnie drugą, i osłabia wrażenie scen niektórych.

Pnę. Bauman widzieliśmy znowu w rolach naiwnych, zwłaszcza w „Przed śniadaniem“ — cacko — fraszka Fredry syna. Jeżeli p. B. zachowa **swoją naturalność** — zaleta największa — a postąpi o tyle, że w scenach kiedy nic nie mówi, nie będzie jak dotąd obojętną, ale potrafi i wtedy **należeć do akcyi** — a zarazem nauczy się co robić z rękami — nie trzymać je ciągle pionowo na dół — i co robić z głową — nie rzucać nią bez potrzeby, które to zewnętrzne usterki pochodzą z nieśmiałości i niewprawy; można o niéj śmiało wypowiedzieć nadzieję, że wkrótce nazwiemy ją artystką. *s.*

— O wybornéj komedyi „Nasi poczciwi wieśniacy“, pisaliśmy już dawniéj. Przedstawienie jéj jest trudne, gdyż prawie wszystkie osoby mają ważne, charakterystyczne role. Mimo to artyści nasi **wszyscy** grają w niéj wybornie, całość idzie żywo i elegancko. Obok innych zwykle odznaczających się artystów, otrzymali zasłużone oklaski pp. Wolski i Eker, którzy role swoje umieli podnieść grą i stworzyć z nich **typowe** postacie.

— Dziś tj. w piątek d. 15 b. m. Towarzystwo śpiewu **Muza**, które świeżo otrzymało koncesją, daje **pierwszy koncert**, w którego program wchodzą: „Symfonia na orkiestrę“, Dobrzyńskiego. — „Largo“ Beethovena i „Elegia“ Ernsta na fisharmonikę z towarzyszeniem fortepianu. — Ballada: „Florjan szary“ z opery Rokiczana (bas i chór) Moniuszki. — „Finale“ i „Sieroty“, z oratorium Guniewicza p. t. „Niewola Babilońska“. — „Tęsknoty ułańskie“ (solo-sopran). — „Wędrowiec“ Szuberta. — Zakończy „Marsz Rakoczego“ Berlioza.

Kilka słów o Towarzystwie „Muza“ i sprawozdanie z koncertu podamy w przyszłym numerze.

Cesarz austr. zakupił na wystawie paryzkiéj obraz Matejki: „Rozbiór Polski“ za 50,000 fr. do Belwederu, a Grotgera 13 obrazów kredkowych p. t. „Wojna“ — za 8000 fr., na pokoje w Burgu. — O dziełach tych pisaliśmy obszernie w „Kalinie“ w osobnych artykułach i sprawozdaniach z wystawy.

Wraz z nadziejami (!) odrodzenia szkół mnożą się u nas podręczne książki do historyi literatury polskiéj. Nakładem **Himmelblaua** w Krakowie wydał *L. F. Rycharski* „Hist. lit. pol.“ w dwóch tomach; — a „Historyi lit. p.“ *Wasilewskiéj* wyszedł drugi zeszyt we Lwowie. O dziełach tych podamy obszerniejsze sprawozdanie.

Sprostowanie

W przeszłym numerze wcisnęły się rażące błędy, na które zwracamy uwagę, a mianowicie:

na stronnicy 1., szpalta pierwsza, wiersz 4. od góry — zam. myśli niektórych myśli, czytaj: „niektórych myśli“.

Na stronnicy 13. szp. 1. wiersz 26. od dołu: zam. zgoła, czytaj: „ogółu“.

Na „ 13 „ 2. „ 17. od dołu, zam. kocie, czytaj: „lwie“.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niepieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.